

STAR CRAFT  
HEART OF THE SWARM

# SZAŁ

Kal-El Bogdanove



*Miał wiatr w plecy. Dobry zwiastun tego, że czeka go wspaniałe szybowanie. Alden Moss uważał to za błogosławieństwo, gdy stał na skraju urwiska, podkurczając palce stóp i pozwalając, by suchy piaszczysty pył spadał małymi chmurkami, rozwiewając się w pustce.*

*Alden wiedział, że tam w dole jest ziemia. Wędrował po niej, lądował tam, i wybrał się kiedyś z miejscową ślicznotką na piaszczoty. Lecz takiego ranka, gdy światło jeszcze nie docierało do dna kanionu, wolał myśleć, że głębia nie ma dna, że Alden zaraz zejdzie z urwiska i pokona otchłań bezbrzeżną niczym kosmos.*

*Słońce jeszcze nie weszło na dobre, lecz pierwsze promienie zaczęły już zabarwiać perłowo-kobaltowe chmury. Było wystarczająco jasno, żeby chłopak o dobrym wzroku mógł wszystko widzieć. Alden po raz ostatni sprawdził uprzęż i lotnię tak, jak przed laty uczył go ojciec, i skoczył.*

*Lotnię uniósł pęd wiatru. Krawędzie skał lśniły już złotem i zdawały się rozciągać w nieskończoność – we fraktalnym morzu piętrowych urwisk, krętych kanionów i wyschniętych płaskowyżów; niepowtarzalnym zjawisku geologicznym.*

*Alden wzbił się do góry, szybując na poziomie urwisk, wchodząc i wychodząc z zasięgu światła jak ryba płynąca w górę strumienia. Pozostawił za sobą codzienne zmartwienia – szkołę, rodziców, werbunek do drużyny. To wszystko zostało na ziemi. Tu, gdzie wiatr wypełniał mu płuca, rozciągał lotnię i szumiał w uszach... Alden był wolny.*

*Odgłos pojawił się tak cicho, ledwo słyszalny na tle ryku wiatru – nikły i odległy. Lecz zmroził Aldena do szpiku kości – jak nic innego przez dwadzieścia lat jego życia.*

Tekeli-li.

*Coś tu było nie tak. Przecież niebo należało do niego! Powinien mieć czysty umysł, spokojne serce – zapanował nad otchłanią! A mimo to odgłos się powtórzył, głośniejszy –*

Tekeli-li!

*– za nim. Alden spojrzał do tyłu, lecz miał słońce w plecy, a skrzydła lotni, które dotychczas uważał za własne, stanowiły teraz nieznośną przeszkodę dla wzroku. Co mogło się tu tak wcześniej zjawić?*

TEKELI-LI!

*Głos przypominał jakiś koszmar, bezimienny, pradawny twór zrodzony w malignie. Alden zanurkował w kierunku urwiska, rozpaczliwie pragnąc spaść i obudzić się we własnym łóżku, zlany zimnym potem i z jedynie strzępkami tego straszego odgłosu w pamięci! Gdyby tylko mógł zobaczyć, co to było!*

*Cień minął go z gorączkowym trzepotem skórzastych skrzydeł, zgrzytaniem zębów i ohydnie wilgotnym odgłosem ciała drżącego w oczekiwaniu.*

*Alden wrzasnął, gdy wreszcie ujrzał oblicze grozy, odrażającą, poznaczoną bliznami paszczę swojego kosmaru. Jego krzyk i straszliwy zew istoty zła się w jedno –*

TEKELI-LI-I-I-I-I!

– a potem zęby odnalazły ciało i nad kanionem zapadła cisza.

\* \* \*

– Turystyka jest niezbędna temu miastu.

Mówiąc to burmistrz Haskins odciął koniuszek drogiego cygara. Rin Sharon przytaknęła z uprzejmości, lecz w głębi duszy parsknęła: *Boże, jakbym nie słyszała tego już setki razy.*

Rin była zmęczona i źle się czuła. Pot, którym ociekała po pościgu w upalnej pogodzie, stygł w klimatyzowanym do granic możliwości biurze, a ciężka torba pełna odebranych zatrzymanemu czarnorynkowych stimów wbijała dwa z sześciu rogów błyszczącej gwiazdki szeryfa w jej pierś. *Idealna kumulacja fizycznej niewygody.*

Burmistrz dalej drążył temat, jakby cztery lata pracy w roli szeryfa Quijadas i dwadzieścia pięć lat życia córki szeryfa nie nauczyły Rin, że jedynym powodem, z jakiego ludzie z innych planet w ogóle wybierali się na Choss – mały, skalisty księżyc – była możliwość szybowania z malowniczych urwisk w krystalicznie czystym pustynnym powietrzu.

Dla amatorów lotniarstwa Choss było koroną, a Quijadas jej najwspanialszym klejnotem, krainą piętrowych kanionów i zapierających dech w piersiach wypiętrzeń, jedynych takich w całym sektorze, pozostałości po prehistorycznym oceanie.

Głównym zadaniem Rin było trzymanie wszystkiego, co nie pasowało do wizerunku doskonałego celu wycieczek, z dala od oczu turystów. Czasami oznaczało to ściganie dilerów czarnorynkowych stimów i obezwładnienie go za zakładem *Azlup's Pack 'n' Jet*, jak dziś.

Zazwyczaj jednak ograniczało się to do dawania mandatów, spisywania rozrabiaków i odstraszenia nastolatków wybierających się do mineralnych źródeł na degustację pędzonego w garażu bimbru.

Robota była niezła, a Rin dobrze sobie radziła. Nie wiedziała, dlaczego nie boi się wetknąć swojego szpiczastego nosa kowbojki w sprawę kogokolwiek, kto zamierzał zacząć jakąś rozróbę, ale było to faktem. Może jej śmiałość była genetyczna. Może pięć pokoleń dziadków-małomiasteczkowych farmerów przekazało tę cechę z wychowaniem. Nieważne, byle się sprawdzało.

Burmistrz właśnie kończył mówić - rychło w czas. Rin zdążyła ugryźć dwa kęsy z kanapki z sałatką jajeczną, gdy zadzwoniła jej zastępczyni z wiadomością, że śledzony diler właśnie się ruszył. Sałatka jajeczna była ulubioną przekąską Rin, choć jaja pochodziły od karaka, a nie od kury, a dłuższy pobyt na talerzu nie wychodził im na dobre.

– Tak, panie burmistrzu, wszyscy cieszymy się, że sprawa została rozwiązana przy minimum rozgłosu.

– Nie, panie burmistrzu, nie sędzę, żeby wskazywało to na rozwijający się handel narkotykami w Quijadas.

– Nie, panie burmistrzu, chyba nikt z Gazety się o tym nie dowiedział.

*Niech to szlag.*

Gdy Rin wyszła z gabinetu burmistrza, fala gorąca uderzyła w nią niczym pięść. Na miejsce zajścia i do aresztu szeryf dotarła swoim rozklekotanym LWB, ale do burmistrza pojechała zwykłym samochodem, świadoma tego, że nie zniósłby widoku łazika z ubłoconymi drzwiami i starymi działkami na pokładzie w sterylnie czystym centrum. *Za to samochód utknąłby w pierwszym korycie rzeki, ledwo byśmy zjechali z miejskiej drogi, pomyślała zmęczona, gdy tylko wsiadła.*

Przejechała dwie przecznice, mijając trzy lodziarnie, butik z meblami ręcznej roboty, sklep z ręcznie robionymi serami i stoisko reklamujące „autentyczny humus protosów” (Rin wiedziała, że były to wierutne bzdury, gdyż protosi nie mieli ust). Wtedy zadzwonił wideofon.

– Shearon, słucham – powiedziała Rin, dotykając ekranu. Pojawiła się na nim sympatyczna twarz Rity, jednej z jej zastępców.

– Hej, R. Mam dziwne zgłoszenie od Dolly Juarez z North-Rim Rentals. Wygląda na to, że mieli tam jakiś wypadek. Jest mocno zdenerwowana.

Rin poczuła skurcz w brzuchu. Co za ironia, że jedyne, czego szeryf naprawdę się bała, to urwiska, z których słynęło miasto.

Wystarczyło wydać trochę kasy, żeby szybować, nurkować i przemierzać cały labirynt najpiękniejszych kanionów w Choss. *Dobrej zabawy, pomyślała Rin. Brr.*

Zdusiła w sobie nagłe uczucie strachu i zawróciła.

– Dzięki, R. Zajmę się tym. Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby jakiś bogaty dupek zabił się tam podczas szybowania? Nie wiem, czy zniósłabym przemowę pod tytułem „Turystyka jest niezbędna miastu” dwa razy jednego dnia.

– Powodzenia.

\* \* \*

Lotnia okazała się doszczętnie rozbita, lecz ciało było w jeszcze gorszym stanie. Dużo gorszym. Dolly Juarez nie nadawała się do rozmowy, więc technik od lotni, Dium Flecc, poprowadził Rin krętą wydeptaną ścieżką do miejsca, gdzie leżały szczątki.

Rin poczuła, że dwa kęsy jajka karaka i majonezu podchodzą jej do gardła. Próbowała udawać, że to widok zwłok ją odrzuca, gdy tak naprawdę chodziło o przepaść ziejącą metr dalej. Nad nimi wznosiło się kolejne urwisko i Rin pomyślała, jak milion razy wcześniej: *W jaki sposób ci ludzie się po tym wspinają?*

Kucnęła, żeby przyrzeć się ranie ziejącej w piersi denata. Ciało upadło i potoczyło się dobry kawałek, lecz oczywiste było, że przyczynę śmierci stanowiła rozległa rana kluta w klatce piersiowej.

– Na miłość boską, Dium. Nikt niczego nie widział?

– Alden Moss był u nas stałym bywalcem. To bogaty dzieciak. Uczelniana gwiazda futbolu. Miał być pierwszym zawodnikiem zwerbowanym w tym roku. Podobno *Asteroidy* i *Tygrysy* biły się o niego od ponad miesiąca.

Rin spojrzała na poskręcane ciało. *Skończyły się długie podania i wygrane mecze. Skończyły się imprezy i wrywanie studentek. Co za cholerna strata.*

– Szybował już w całym sektorze – mówił dalej Flecc. – Wiele razy wybierał się tu z ojcem w lecie, od kiedy był małym szkrabem. Kurde, Dolly nawet ma nad biurkiem piłkę z jego autografem. Alden od wielu lat nie potrzebował przewodnika. Wychodził z ośrodka wczesnym rankiem... Gdyby nie puste miejsce na lotnię, nie wiedzielibyśmy, że w ogóle wyleciał.

– Latasz od dawna. Co o tym sądzisz? – Rin ostrożnie uniosła kończynę długopisem wyjętym z kieszeni koszuli.

– Jeśli amortyzator zawiódł, a Alden trafił na silny podmuch, taki, jakie bywają na Zeph III, mógł uderzyć w skały. Koziołkowanie po ziemi może tłumaczyć zniszczenie lotni, połamane kości i płytkie rany. Ale nigdy nie widziałem, żeby grawitacja spowodowała coś *takiego*.

– No i gdzie krew? – zdziwiła się Rin. – Nawet jeśli zaczepił o coś i zdążył się wykrwawić, powinniśmy widzieć jakieś plamy. Cokolwiek. A tu nie ma nic.

– Wygląda, jakby coś go wysssało jak sok z kartonu przez słomkę. – Flecc podrapał się po łysinie, opalonej od lat spędzonych na otwartej przestrzeni. – Może łowne nietoperze znalazły zwłoki...?

– Na takiego twardego potrzebna by była chmura nietoperzy. A jeśli wyleciał tu po zachodzie księżycy...

*To mamy naprawdę paskudny problem*, pomyślała Rin, a chwilę później Flecc zgodził się z tym, czego nie wypowiedziała.

– Wiesz... Służyłem w wojsku dość krótko, a do tego cały czas spędziłem na ćwiczeniach desantu. Nie widziałem obcego na oczy. Ale oglądałem filmy na unitarce i było na nich tylko jedno stworzenie, które mogłoby zrobić takie rany...

*Naprawdę paskudny*, powtórzyła w duchu Rin.

– Dee... zabrałeś ze sobą jakąś broń, kiedy skończyłeś służbę?

– Wziąłem Torrenta. SR-8. Rozwala górskie dziki na miejscu i nadaje się nawet dla niedzielnych myśliwych.

– Postaraj się mieć go przy sobie, gdy będziesz prowadził wycieczkę, dobra? – Rin odchyliła się na piętach i wstała, po czym oddaliła od smrodu zwłok dzieciaka.

– Sądzisz, że to naprawdę obcy? – spytał Flecc.

– To, co ja sędzę, nie ma znaczenia. – Rin odwróciła wzrok od kanionu. – Liczy się to, do czego uda mi się przekonać Haskinsa.

\* \* \*

– W żadnym wypadku.

Woskowa cera burmistrza przybrała różowy odcień.

*Jak mu się udaje zachować jasną skórę, gdy reszta z nas co dziesięć lat leczy się na czerniaka?*

– zastanawiała się Rin.

– Zamknąć kaniony w weekend rocznicy Inauguracji? Równie dobrze mogę podpalić skarbiec i mieć to z głowy. „Mutaliski w kanionach”? To jakiś absurd! Niby co tutaj mogłoby przyciągnąć uwagę zergów?!

– Może coś, co zostało z czasu niepokoju. – Rin nie znosiła eufemizmu, jakim miejscowi łagodzili to, co reszta całego cholernego sektora nazywała po imieniu: wojną.

Rin wiedziała, że mieszkańcom Choss się upiekło, oględnie mówiąc. Wojsko postawiło bazę przesiadkową po drugiej stronie pustyni i skończyło się na przepychance o nią z zergami. Całe zamieszanie trwało może z miesiąc, odbyło się po drugiej stronie księżyca, a jedyną stratą, jaką poniosło Quijadas, był jej ojciec.

Jako że miejscowi nie stracili wtedy nic, a Rin tak wiele, eufemizm ją drażnił. Często sprawiało jej przyjemność nazywanie sprawy po imieniu prosto w oczy, lecz w tej chwili miała po dziurki w nosie starć z burmistrzem.

– Bzdura. Niepokój był kawał drogi stąd – w Bim Battum! Trzy drużyny eliminacyjne marines przeczesaly ten księżyc, poważnie przy tym obciążając budżet naszego miasta. Choss to certyfikowany materiał na kurort wakacyjny.

Rin wzięła głęboki oddech, by zwalczyć w sobie chęć uduszenia mężczyzny.

– Nie jestem ekspertem, ale podobno mutaliski są dużo bardziej podobne do robali niż cała reszta. Idą tam, gdzie każe im rój, ale czasami potrafią zboczyć gdzieś, gdzie skierują je kaprysy ich robaczych mózdków.

– Nie będę odbierał chleba moim obywatelom tylko dlatego, że ktoś miał wypadek na lotni. Wszyscy, którzy się tam wybierają, podpisują co trzeba i zrzekają się wszelkich roszczeń. Wsadźcie zwłoki do chłodni i skontaktujcie się z rodziną. To moje ostatnie słowo w tej sprawie.

\* \* \*

To nie było ostatnie słowo. Następne trzy ofiary pojawiły się dwa dni później – cała rodzina została porwana w trakcie lotu. Rin dowiedziała się szczegółów od biednego Diuma Flecca, pomiędzy jękami bólu, gdy żrąca krew trawiła resztki jego ręki. Flecc zabrał ze sobą Torrenta i zdążył wystrzelić, lecz nie miał na tyle rozsądku, żeby usunąć się w porę spod celu.

*Krew mutalisków wystawiona na działanie powietrza staje się wyjątkowo żrąca, przypomniała sobie Rin. W hiper necie sporo przeczytała o tych istotach jeszcze tego samego dnia, gdy przegrała walkę z uporem burmistrza. Znalazła zaskakująco mało informacji, lecz zdążyła zapamiętać ten właśnie szczegół, zanim nie wygoniła jej Rita, która przyszła na poranną zmianę.*

Burmistrz Haskins wszedł, ale nie powiedział ani słowa; tylko jego blada twarz przybrała zielonkawy odcień, a wzrok uciekał na boki, byle nie natrafić na Flecca.

– Odleciały z nimi. Boże, po prostu z nimi odleciały! – jęczał Flecc.

– Zrobiłeś, co mogłeś, Dee. Sama powinnam tam być.

*Może i powinnam, pomyślała Rin, tylko nie mam pojęcia, co by to dało, gdybym próbowała walczyć z potworami na tym cholernym urwisku.*

Doktor Beele podał coś Fleccowi i ranny funkcjonariusz zapadł w błogą nieświadomość. Gdy Beele amputował mu ramię przy użyciu lasera, Rin zwróciła się do Haskinsa.

– Lepiej się przejdźmy. We dwójkę.

Na świeżym czystym powietrzu pozbawionym szpitalnej woni małego gabinetu lekarza Rin z przyjemnością wzięła głęboki oddech. Haskins ciężko dyszał, jakby właśnie przebiegł parę kilometrów.

– Muszę połączyć się ze Strongiem za godzinę. Nie wieczorem, nie jutro rano, tylko za godzinę – powiedziała Rin.

Haskins pokiwał głową tak gwałtownie, że jeszcze trochę, a mogłaby mu odpaść.

– To nasz cholerny przedstawiciel Dominium – podjęła Rin. – Niech wreszcie zacnie wywiązywać się ze swoich obowiązków.

\* \* \*

Nazwisko Strong – silny – było zdaniem Rin najmniej stosownym określeniem dla przedstawiciela Dominium na Choss. Wywiązywał się z około pięciu procent tego, co obiecywał, a i to tylko w przypadku Quijadas, zdecydowanie najbogatszej miejscowości na Choss. Rin wzdrygnęła się na myśl, jak mogło wyglądać wsparcie dla Zeb, farmerskiej osady dziesięć kilometrów na zachód, gdzie mieszkała większość pracowników kurortu.

Jednak Rin położyła nacisk na żywotne znaczenie bieżącej sprawy i Strong obiecał, że wsparcie z Dominium przybędzie na pokładzie frachtowca lądującego następnego ranka. W samą porę. W nocy nastąpił kolejny atak, tym razem bliżej miasta.

Rin żałowała, że spodziewała się czegokolwiek po Strongu. Gdy mizernej postury mól książkowy w wełnianej sportowej marynarce (*Wełna! W sam raz na lato na Choss!*) zawołał ją po zejściu ze statku, Rin zerknęła za niego, chcąc przekonać się, czy aby za jajogłowym nie ma paru palet z wieżyczkami rakietowymi klasy „Longbolt”, o które prosiła.

– Zakładam, że pani jest szeryf Shearon – powiedział i zamilkł. – Szeryf Shearon. – powtórzył z namysłem. – Dużo w tym „sz”.

Potem, gdy nazwisko najwyraźniej przypadło mu do gustu, wyciągnął dłoń.

– Brad Champlain, WBS<sup>1</sup>. Rozumiem, że macie tu problem z mutaliskami.

Rin powstrzymała się, żeby nań nie nawrzeszczyć.

– To mało powiedziane, panie Champlain. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale myślałam, że zamiast pana dostaniemy spory zapas rakiet ziemia-powietrze.

– Naprawdę? Przykro mi, pani szeryf; W WBS trzymają nas z dala od tych rzeczy... Hm, czy mógłbym panią poprosić o przeniesienie tej rozmowy w jakieś klimatyzowane miejsce? Obawiam się, że nie jestem do końca przygotowany na skwar waszego księżycyca.

\* \* \*

– Jest pan ekspertem od mutalisków?

Siedzieli w klubie „Agave”, wychodzącym na pole golfowe. Lokal mieścił się w pobliżu lądowiska, był klimatyzowany, a do tego Rin lubiła tutejsze kanapki z sałatką jajeczną – z jajami od prawdziwej kury, z importu. Zazwyczaj nie mogła sobie na nie pozwolić, ale przy spotkaniu w interesach...

Champlain zaśmiał się w uprzejmy, akademicki sposób.

– O ile w ogóle można być ekspertem od mutalisków, to tak, jestem nim. Wyjątkowo trudno jest badać te stworzenia.

*Boże drogi*, pomyślała Rin, nie przejmując się, że upodabnia się w tym do matki.

– Ale może nam pan pomóc pozbyć się mutalisków...?

– Może za jakiś czas. Widzi pani, powodem, dla którego mutaliski stanowią taką zagadkę, jest to, że nie można przeprowadzić ich dokładnej sekcji. Mutalisk pełen jest lepkiego śluzu, który po przebiciu pancerza zwierzęcia rozkłada się na fluoroantymonowe związki. Krótko mówiąc, oznacza to, że mutaliski rozpuszczają się, zanim można dokonać szczegółowych oględzin.

– Świetnie. Jak mogę sprawić, żeby się taki rozpuścił? – spytała Rin.

Champlain wzruszył ramionami.

– Uśmiercić zwierzę.

– Więc pańskie stanowisko eksperta w sprawie sposobu zabicia mutalisków to „zabić je”? Doktorze...

---

<sup>1</sup> Wydział Badań Specjalnych (przyp. tłum.)



– Wystarczy: profesorze.

– Nie mam pojęcia, jak je znaleźć. W okolicy może być nawet dziesięć tych paskudztw...

– Boże drogi, nie.

Rin powoli traciła cierpliwość.

– Tak. Widziałam nagrania kamer z North-Rim. Było ich co najmniej pięć...

– Nie, nie rozumie pani. Chodzi o to, że jeżeli widziano grupę pięciu polujących mutalisków dwa razy w tym samym miejscu w dwa kolejne dni, to z całą pewnością mają iglicę w promieniu 120 kilometrów.

– Iglicę?

– Gniazdo, pani szeryf. Możemy się spodziewać stada w liczbie sześćdziesięciu lub więcej osobników.

Rin poczuła w brzuchu skurcz, który zwykle kojarzył jej się z urwiskami.

– Sześćdziesięciu? Mamy tu ponad pół setki mutalisków z apetytem na moje miasto, a przysyłają mi tu *pana*, kogoś, kto – bez urazy – nie wygląda, jakby kiedykolwiek trzymał w ręku broń...

– Nic szkodzi. Prawdę mówiąc, jestem z tego dumny.

– Przepraszam. Będę musiała poszukać pomocy gdzie indziej – westchnęła Rin.

– Koniecznie, jeżeli chce pani zniszczyć kolonię ponad sześćdziesięciu mutalisków. Skoro zaczęły atakować ludzi, oznacza to, że już przetrzebiły populację zwierzyny łownej w okolicy. Sytuacja może się tylko pogorszyć. Mam nadzieję, że pozwoli mi pani tu zostać i badać to stado. Pomogę na tyle, na ile będę w stanie. Dobrze wiem, że te stworzenia są niebezpieczne.

– Dziękuję, doktorze.

– Profesorze – odpowiedział jowialnie i wziął do ust kolejny kęs hiszpańskiego omleta.

*(Z jaj karaka, nie żeby dało się poznać przy tyłu przyprawach.)*

Rin patrzyła tępo na swoją sałatkę jajeczną. A wyglądała tak smakowicie sześćdziesiąt pięć mutalisków temu.

Niech to szlag, pomyślała Rin.

\* \* \*

– Sześćdziesiąt? – powtórzyła Rita.

Rin wróciła do biura po niekończących się przepychankach z Haskinsem i radą miasta i zastała Ritę kończącą biuletyn ostrzegawczy, jak prosiła Rin. *Zawsze miło wiedzieć, że mogą na kogoś liczyć*, pomyślała szeryf.

Odpięła broń, wrzuciła ją do szuflady biurka i bezceremonialnie runęła na krzesło obok swojej przyjaciółki i zastępcy zarazem.

– Champlain twierdzi, że one żyły tu od czasu wojny, żywiąc się łownymi nietoperzami i czym popadnie w głębszych kanionach. Prawdopodobnie ma rację. W końcu podczas walk byliśmy w samym środku pory deszczowej. Wiesz, jak te nietoperze wyrajają się regularnie, co jakieś pięć lat. Ale teraz mieliśmy lekką suszę przez ostatnie dwa...

Rin westchnęła, nie kończąc zdania. *Udupiła nas pogoda. Lepiej przydałabym się miastu, gdybym była meteorologiem.*

Rita wpatrywała się w nią, czekając na resztę wyjaśnień.

– Tak czy owak, mówi, że jeśli pozostaniemy w budynkach i będziemy trzymać się z dala od kanionów, mamy jeszcze parę tygodni. Ale skoro posuwają się naprzód w takim tempie... trzeba będzie ewakuować Cliffsides Rest.

– Bogowie, Haskins pewnie dostał kota. Co się stanie za parę tygodni?

Rin rozłożyła ręce.

– Potrzebujemy broni. Dominium jest tak przydatne, jak kłapa w dzień łodzi. Strong nie przyzna się do tego, że zespoły oczyszczające spaprały robotę. Potrzebujemy najemników. Tyle że jeśli wpuścimy ich do takiego miasteczka, już się ich nie pozbędziemy.

– Nawet z takim twardzielem jak ty za szeryfa, R? – spytała Rita, puszczając do niej oko.

Rin wyszczerzyła do przyjaciółki.

– Nawet.

Gdy Rin ledwo co dostała się do policji ojca, Rita była dzieciakiem na wakacjach, serwującym klubowe kanapki w „Agave”, a wieczorami szybowwała czekając, aż dojrzeje jej fundusz powierniczy.

Poznały się, gdy Rita wezwała policję do rozdzielenia paru podpitych handlarzy. Traf chciał, że akurat na służbie byli Rin i stary Arco Bousquette.

Rita była dzieckiem arystokratycznej rodziny, która wolałaby w niej widzieć gwiazdę eleganckich balów, a nie najlepszą zawodniczkę drużyny lacrosse. Rin była dzieckiem szeryfa o kamiennej twarzy, który wychowywał córkę nie dając po sobie poznać, że nie uważa jej za syna.

Były klasyczną parą przeciwieństw: elegancka Rita o płomińście rudych lokach i oliwkowej cerze i grubo ciosana Rin, o blond włosach w odcieniu jak sprane prześcieradło i jasnej cerze, która wiecznie się spiekała, a za nic nie chciała opalić.

Mimo to Rin i Rita natychmiast się zaprzyjaźniły, przez lata znosząc żarty ze strony facetów spragnionych „duetu R i R”. W końcu przyzwyczyły się do tego i oswoiły głupie przezwisko.

Gdy Rita pokłóciła się z rodziną, przyjęła ją właśnie Rin z ojcem, dając pracę w niewielkich siłach policyjnych.

Gdy szeryf Shearon senior zmarł, to właśnie Rita wyciągnęła Rin z mroku.

Kiedy cała rodzina Rity, nie pogodziwszy się z córką, zginęła podczas ataku zergów, Rin odwdzięczyła się przyjaciółce za pomoc.

A kiedy Jasper, pięcioletni kuzyn Rity, trafił do niej jako do ostatniej żyjącej krewnej, Rin włączyła się do pomocy w jego wychowaniu.

Jak każda porządna dziewczyna z Choss, Rin bawiła się z przystojniakami przyjeżdżającymi latem, ale nic z tego nie trwało dłużej. Została jej tylko Rita – bliższa niż siostra – i Jasper, w mniejszym stopniu jej syn niż sama była nim dla ojca, lecz Rita, jak jej ojciec, zdawała się tego nie zauważać. Sierota i dwie policjantki stanowiły niezwykłą rodzinę, ale tak już było u Rin.

– A co z twoim kolegą, Pearlym? – spytała Rita. – On nie służy jako najemnik?

– R, on jest u Rekieterów Raynora. A ci nie przyjmują zamówień na rozdeptanie byle mrowiska.

Rita zamilkła.

– R? – zawahała się Rin. – Przetrzyjmy Jaspiera w domu przez parę dni. Wypożycz jakies holofilmy, czy coś.

Rita przytaknęła, ledwie widoczna w świetle biurkowej lampy. Przez chwilę siedziały cicho. Jednak gdy Rin zamierzała już zbierać się na noc, Rita rzuciła:

– Pomyślałam tylko, że może będzie kogoś znał. W końcu ma kontakty na planecie.

\* \* \*

– Niech mnie diabli, toż to córeczka Rhetta Shearona. Jak się żyje, panno szeryf?

– Niezbyt lekko, Pearly. Mamy tu niejakie kłopoty. Mutaliski – powiedziała Rin. Monitor migotał, próbując dostosować się do matrycy dekodera, którą szeryf zamontowała, by uzyskać w miarę przyzwoite połączenie z *Hyperionem*.

– Mutaliski?!

– Tylko w naszej okolicy, Pearly, przynajmniej na razie. Sprawiają jednak kłopoty w Cliffside Rest.

Cała rodzina Pearly’ego – łącznie ze starym Arco, już na emeryturze – mieszkała w Bim Battum, po drugiej stronie Choss. Rin wiedziała, że jego pierwszym zmartwieniem będzie

rodzina, a kolejnym wymyślony hotel w ścianie urwiska, który najemnik zbudował w kanionach Quijadas, zanim wybrał się na wojnę.

Wyjaśniła mu szczegóły sytuacji i Pearly wysłuchał ich z tą samą koncentracją, która zaskarbiła mu przyjaźń jej ojca. Gdy skończyła, odchylił się na krzesło, parę lat świetlnych dalej, i wypuścił długo wstrzymywane powietrze.

– Znam człowieka, który może, *może* będzie w stanie wam pomóc. Jeśli się zgodzisz, połączę się z nim, gdy tylko skończymy rozmawiać. Ale ostrzegam, Rin: jeśli wynajmiesz go do rozwalenia robali, zmiecie je w drobny mak. Co do jednego. Ale jeśli coś wejdzie mu w drogę, prawdopodobnie przejedzie się również po tym. Rozumiesz? – Pearly nachylił się do kamery, żeby zaakcentować ostatnie zdania.

– Dla mnie to jak dar niebios, Pearl.

– Dobra. Facet nazywa się Breg Shaw. Spodziewajcie się go najpóźniej w piątek.

\* \* \*

Breg Shaw przyleciał do Quijadas w środę wieczorem rozklekotanym transportowcem, na widok którego Rin pożałowała swej decyzji. Haskins wyglądał, jakby poczuł smród. Nie mieli jednak wielkiego wyboru. Od rozmowy z Pearlym znaleźli kolejne dwie ofiary i na mieszkańców Choss padł blady strach.

Gdy tylko kurz opadł, Rin i burmistrz weszli do hangaru na spotkanie z najemnikiem.

Shaw był suchym, pomarszczonym człowiekiem, wyglądającym jak sękaty konar obrobiony przez niewprawnego rzeźbiarza. Omiótł ich spojrzeniem głębokich, zmrużonych oczu.

– To pani jest tu szeryfem? – Jego głos zabrzmiał jak zgrzyt zużytej piły łańcuchowej.

– Katrin Shearon.

*Nie podoba mi się*, pomyślała Rin. Rita powiedziałaaby, że to dlatego, większość ludzi jej się nie podobała. Rin czuła, że to niesprawiedliwe—lubiła ludzi, którzy byli coś warci. To nie miało znaczenia; jeśli Shaw mógł wykonać robotę, to Rin szybko się do niego przekona.

– W takim razie pan jest politykiem. – Shaw zmierzył wzrokiem Haskinsa.

Haskins uśmiechnął się tak, jakby właśnie ugryzł pączka i stwierdził, że to kostka mydła.

– I jeśli macie tu problemy z mutaliskami, mogę się tym zająć. Trzydzieści tysięcy, plus naprawy i konserwacja mojego sprzętu, a odzyskacie swoje niebo.

– Poradzi pan sobie? – upewniła się Rin.

– O, tak.

– Niestety, panie, ee, Shaw, to nie nas musi pan przekonać. – Haskins zdążył odzyskać głos. Zakaszłał cicho, flegmowato. – Wydatki takiego rzędu musi zatwierdzić rada miasta.

Zwołaliśmy nadzwyczajną naradę, gdy tylko Liddy z lądowiska wykrył pański statek. Zbieramy się w ratuszu...

Shaw uśmiechnął się krzywo. W jego oczach, jak zauważyła Rin, nie pojawił się choćby cień humoru, a cichy głos przypominał silnik pracujący na wolnych obrotach.

– Pięcioro zabitych, a pan się martwi, co powie rada?

– Sześcioro – poprawiła Rin.

– Hę?

– Sześcioro zabitych. Przybyło ofiar, zanim pan przyleciał.

– Gdzie ten cholerny ratusz? – szczerknął Shaw jak podkręcona piła.

– Na Placu Centralnym, prosto główną drogą. Zabiorę pana samochodem.

– Darujcie sobie samochód. – Shaw odwrócił się i wszedł do statku.

Rin spojrzała z oszołomieniem na Haskinsa. *Potrzeba niezłego kalibru dupka, żebym zgodziła się w czymś z szefem*, pomyślała.

Z transportowca dobiegł zgrzytający terkot. Wielki luk ładowni zaczął się otwierać.

Pokrywa odsunęła się do końca i nagle sceptycyzm Rin co do zdolności Shawa nieco się zmniejszył.

Z transportowca wyszedł najgroźniejszy goliat, jakiego Rin w życiu widziała, z Shawem za sterami. Na boku maszyny wymalowano napis *Muchołapka I*.

Prawdę mówiąc Rin nigdy nie widziała goliata na własne oczy, lecz temu kroczącemu serwomechowi poświęcano sporo miejsca w artykułach na temat obrony przed mutaliskami, które czytała od czasu śmierci Aldena Mossa. Widziała zdjęcia, ale żaden nie wyglądał tak jak ten.

Shaw zamienił oba standardowe gładkolufowe działka na miniguny umieszczone na w pełni ruchomych ramionach, zaopatrzonych również w uchwyty ładownicze. Na oko Rin wyglądały one na bardzo skuteczne w walce z celami powietrznymi. Najemnik zdołał również zamontować dwie wyrzutnie rakiet produkcji DZZ. A zamiast standardowej wieżyczki z karabinem maszynowym w kroczu robota, Shaw jakimś sposobem podłączył –

*Jasna cholera, przecież to laser impulsowy ze zjawy! Jak on w ogóle go uruchomił?!*

Zanim jednak Rin zdążyła wypowiedzieć pytanie na głos, Shaw wyszedł goliatem z hangaru i pognął do miasta.

*Niech to szlag!* pomyślała Rin i pobiegła do samochodu.

\* \* \*

Shaw najwyraźniej nie wierzył w ograniczenia prędkości, gdyż Rin musiała dociskać gaz do dechy, żeby nadążyć za goliatem do miasta. Czuła, jak delikatna konstrukcja samochodu (budowanego tak, żeby ładnie wyglądał na porządnych drogach) skrzypi i drży od nadmiernego pędu.

Jednak Rin z Haskinsem dojechali bez przeszkód. Zdążyli zobaczyć, jak Shaw przystaje przed ratuszem i usłyszeć klakson – przeznaczony do przyciągania uwagi w ogniu walki, a nie do zakłócania spokoju cichej turystycznej miejscowości na pustyni.

Dokoła zaczęli pojawiać się ludzie, z ratusza i zza żywopłotów schludnie ogrodzonych spa i kortów tenisowych. Rada miasta, miejscowi i mnóstwo turystów – wszyscy tłoczyli się na skwerze. Wielu wyglądało na zdenerwowanych zamieszaniem. Inni byli po prostu ciekawi.

Shaw wyskoczył z goliata i zabrał głos.

– Nazywam się Breg Shaw i jestem łowcą mutalisków. Osobiście zniszczyłem ponad trzydzieści iglic i uczestniczyłem w likwidacji setek innych. Jeśli pozwolicie, załatwię wasz problem.

Tłum zaszemrał.

– Skąd mamy wiedzieć, że pan nas nie oszuka? – krzyknął ktoś.

– Zapłacicie mi po wykonaniu roboty. Możecie wyznaczyć do nadzoru, kogo chcecie.

W tłumie zawrzało jeszcze głośniejsze, po czym odezwał się jeden z radnych miejskich.

– Może pan szybko powstrzymać te stworzenia?

– Zlokalizowanie iglicy zajmie mi około tygodnia...

– Nieprawda!

Wszyscy odwrócili się do Champlaina, a ten poprawił okulary na nosie (*Boże, on tak serio?*) i przeszedł do wyjaśnień.

– Wcale nie potrzeba tygodnia. Rozstawiłem w kanionach czujniki do nagrywania tras przelotu mutalisków i zawęziłem potencjalny obszar gniazdowania.

Shaw zdziwiony, że ktoś mu przerywa, gapił się osłupiały na śmiałka.

– Chciałem przez to powiedzieć – zakończył Champlain – że mogę zabrać pana prosto do iglicy.

– Świetnie! Doskonale. Weźmie pan ze sobą eksperta od mutalisków i rozwiąże nasz problem! – Haskins rozpromienił się z radości.

*Wszystkie jego troski minęły, ledwo radni się zgodzili, pomyślała Rin.*

Shaw wydobył z siebie tylko nieartykułowane:

– Tchah!

Lecz zanim zdążył powiedzieć coś więcej, Rin usłyszała własny głos:

– Plus mnie.

\* \* \*

– Ale dlaczego?!

Gdyby Rin założyła się, że Jasper zaprotestuje, wygrałaby piwo.

Chłopak uniósł zaczerwienioną twarz. Z wyglądu trochę przypominał Ritę, ale tą pozą naśladował Rin – zupełnie jakby spojrzała w lustro. Rin poczuła jednocześnie dumę i konsternację.

– Bo jeśli ten Shaw się nie sprawdzi, ktoś od nas musi zobaczyć, z czym mamy do czynienia, gdyby trzeba było na miejscu podjąć trudną decyzję w imieniu miasta, chłopcze.

– Ale dlaczego musisz to być właśnie ty? – dopytywał się Jasper.

Rin westchnęła i położyła mu rękę na ramieniu, jakby chciała go poprowadzić. Robił tak ze sto razy jej ojciec. Wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze.

– Bo to moje miasto.

\* \* \*

– Powinniśmy jechać tam razem – narzekała Rita. – R i R kopia D!

– Rita, zastanów się, co by się stało, gdyby choć jedno takie paskudztwo, choćby jedno, dostało się do miasta. Naprawdę chcesz, żeby jedynym funkcjonariuszem na miejscu był Keith?

Rin próbowała obrócić sprawę w żart, ale Rita przejrzała to od razu i spojrzała jej prosto w oczy.

– R... jeśli mi tam umrzesz... Osobiście cię zatłukę.

Rin tylko się uśmiechnęła.

– Trzymaj się.

\* \* \*

Champlain był już spakowany, gdy nazajutrz bladym świtem Rin podjechała na lądowisko w rozklekotanym łaziku. Shaw i Champlain spędzili część wieczoru montując laboratoryjny zasobnik profesora do *Muchołapki*. Z tyłu kadłuba pod wyrzutniami raket dodatkowy osprzęt naukowy był w miarę bezpieczny. Wyglądał na goliacie jak plecakowe nosidełko – mały składany fotel.

– To cholerstwo utnie mi z pięć, dziesięć procent szybkości maksymalnej – narzekał Shaw.

– Proszę przez konsolę pokładową przekazać na te braki z dwadzieścia procent mocy ze sterowania wyrzutniami, dopóki będziemy w drodze. To nie zakłóci pracy łańcucha napędowego. Może pan mnie odczepić, gdy zobaczymy iglicę, i odzyskać pełną zdolność bojową – odparł Champlain.

Shaw uniósł brew.

– Można i tak.

– Dzień dobry, chłopaki. – powiedziała Rin. – Gotowi do drogi?

– Ciekawe, czy *pani* jest gotowa, pani szeryf – odparł złowieszczo Shaw. a gdy wspinał się do kabiny, Rin zobaczyła, jak Champlain przewraca oczami.

Wkrótce niecodzienna trójka ruszyła na pustynię, a LWB Rin powlókł się za cudacznie wyposażonym goliatem w żar wstającego dnia.

\* \* \*

– Prawdę mówiąc, to był mój drugi doktorat. Pierwszy zrobiłem z chemii organicznej. A to w naturalny sposób prowadziło do ksenobiologii. Wie pani, jak to jest – kiedy naukowiec chce zrobić karierę w sektorze Koprulu, musi się wykazać w pracy na rzecz wojska.

Rin uśmiechnęła się, słuchając gadaniny Champlaina przez wideofon.

– Doktorze, dręczy mnie ciekawość: po co w ogóle tu pana przysłano? Jeśli chce pan obserwować zachowanie mutalisków, to właśnie kotłują się w połowie sektora. W porównaniu do tamtych nasz problem to tylko małe mrowisko.

– *Profesorze* – prychnął Champlain. – Sam poprosiłem o ten przydział. Uważam, że wasza iglica może być doskonałym miejscem, w którym złowię moją grubą rybę.

– Stop, jeszcze raz – westchnęła Rin.

– Cóż, wie pani, że zergi cechują się świetną zdolnością adaptacji; ich kod genetyczny to nie ścisłe zasady, lecz raczej ogólne wskazówki, jeśli wie pani, co mam na myśli...–

– Proszę używać łatwych słów, a może nadążę – zażartowała Rin, nie mogąc się powstrzymać.

– Och! Przepraszam. Cóż... Mutaliski należą do najlepiej przystosowujących się podgatunków zergów. Mają zdolność samodzielnego lotu w przestrzeni kosmicznej, a także używają zmodyfikowanych organów rozrodczych jako broni ofensywnej... Mutaliski wykształciły fascynujące zdolności, o których nie wiemy praktycznie nic.

*Co czyni je tak groźnymi*, pomyślała Rin. *To już wiemy.*



– Jedną ze zdolności, jakie mogą nabyć mutaliski – ciągnął Champlain – jest naturalna odporność na żrącą krew innych mieszkańców iglicy. Żyją tam w takim tłoku... Proszę sobie wyobrazić, że ryzykuje pani rozpuszczenie się za każdym razem, gdy pani brat się skaleczy. To byłoby niedopuszczalne.

Rin podziwiała entuzjazm bijący od Champlaina. Naukowiec kontynuował wywód na temat swojej dziedziny badań. *Byłoby uroczo, pomyślała, gdyby nie mówił o bezlitosnych latających robalach krwawiących kwasem i rodzących pasożytnicze larwy.*

– Mutaliski nabierają tej odporności w reakcji na słabe bodźce, lecz nigdy nie na tyle, żeby ich ciało wytrzymało żrące wycieki następujące podczas śmierci lub sekcji. Po prostu nie żyją na tyle długo, żeby się uodpornić.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ większość mutalisków nie wykazuje zbytniego instynktu samozachowawczego. Przedłużanie własnego życia nie leży w ich naturze; one dążą wyłącznie do przedłużenia istnienia iglicy. Lecz co jakiś czas – i mówimy tu o jednym osobniku na miliony – wykluwa się mutalisk posiadający ten instynkt. Żyje o wiele dłużej niż przeciętne jednostki. Mam teorię, że żyjący tak długo mutalisk może nabrać wystarczającej odporności na własne płyny ustrojowe, żeby wytrzymać gwałtowną śmierć oraz sekcję. Nazwałem to „teorią sprytnego mutaliska”. To właśnie moja gruba ryba.

– I sądzi pan, że w naszej iglicy można takiego znaleźć? – spytała Rin.

– Księżyc położony na uboczu, inwazja pozbawiona celu strategicznego, mnóstwo pożywienia... Te mutaliski nie tylko znalazły ukrytą iglicę po zniszczeniu przez Dominium obu znanych uli na Choss, lecz również zdołały ująć uwadze trzech kolejnych grup oczyszczających. To dobrzy kandydaci. Naturalna topografia regionu – wasze urwiska, płaskowyże i tym podobne – bardzo utrudnia wykrycie. Tutaj taki mutalisk mógłby przeżyć – a nawet prosperować – jak również nauczyć się ukrywać i chronić własne gniazdo!

– Naprawdę sądzi pan, że one są na tyle świadome, by to wszystko zrozumieć?

– Jednym z powodów, dla których one są takie fascynujące, pani szeryf, jest to, że ciężko dokładnie określić, co potrafią, a czego nie. – Champlain wyszczerzył się w uśmiechu.

– Posłuchajcie siebie. – Shaw nie odzywał się tak długo, że Rin prawie zapomniała o jego obecności. Teraz, gdy włączył się do rozmowy, widziała jego grymas na ekranie, z bliznami groteskowo wyolbrzymionymi przez soczewkę kamery hełmu. – Myślicie, że jesteście na wycieczce krajoznawczej? Że upolujecie sobie mutaliska, wypchacie go i zapakujecie na szpileczce do pudełka, jak motyla? – Każde słowo ociekało drwiną. – Mutalisk potrafi tylko jedno: zabijać. To najgorsza, najbardziej *mordercza* bestia, jaką diabeł wypluł z własnych trzewi do tego czy jakiegokolwiek innego sektora. Nie ma w tym robalu ani jednej części, której nie może użyć do zabijania!

– Właśnie dlatego badanie ich jest tak istotne! – Champlain przeszedł do obrony. – Im więcej dowiemy się na temat tych istot, tym lepiej będziemy mogli się przed nimi bronić. Jeżeli nam się uda, kolejna inwazja na jakiegokolwiek miasto może skończyć się bez ofiar...

– Cisza! Oboje! – Shaw nagle zmienił obiekt zainteresowania, natychmiast skupiając się wyłącznie na nim. Odciął zasilanie goliata, a Rin poszła w jego ślady i zgasiła silnik LWB.

– Co?! Co się dzieje? – zaniepokoił się Champlain.

– Zamknij się pan i otwórz oczy! – warknął Shaw. – Tam, na wzgórzu...

Shaw dotknął konsoli i sekundę później na ekranie Rin pojawił się wyraźny punkt. Rin wyciągnęła lornetkę i popatrzyła we wskazane miejsce.

Trzy mutale przyczepiły się do gigantycznego górskiego dzika i łapczywie wysysały z niego życie. Rin słyszała już rozpaczliwe, wysokie i cienkie piski zdobyczy. Sama upolowała wystarczająco wiele górskich dzików – twardych, wrednych bestii wielkości nosorożców, często rzucających się na człowieka, gdy tylko go dostrzegły – lecz nagle poczuła litość dla tego zwierzęcia.

– Widzicie? – szeptał Champlain. – Mutaliski na pewno potrzebują dużo płynnego pokarmu, gdy po początkowej inwazji zapasy ich syntetycznej pożywki, nazywanej biomasą, skurczyły się prawie do zera...

*Muchołapka* skoczyła naprzód. Rin usłyszała „Urk!” Champlaina, gdy Shaw zaczął biec w stronę grani.

Drapieżniki wrzasnęły i poderwały się do lotu. Rin po raz pierwszy usłyszała ten krzyk, legendarny, mrozący krew w żyłach zew, przejęty od skrzydłoszponów modliszkowatych, z których to stworzeń zergi wyhodowały mutaliski, i odgłos ten poruszył ją do głębi.

– Tekeli-li! Tekeli-liiiii!

*Taki dźwięk nie powinien w ogóle istnieć, pomyślała Rin. Tak mogą krzyczeć tylko potężni.*

Mutale zawróciły naraz w stronę *Muchołapki*, a ich falujące pokładetka drgały, przygotowując się do wyrzucenia chmury czerwiej glewiowych. Przez chwilę Rin myślała, że Shaw postradał zmysły i biegnie na swą zgubę...

Potem usłyszała rozkręcające się działka. Pierwszy mutalisk zginął w rozpylonym deszczu żrącej posoki w odległości dwudziestu metrów. Krople krwawego kwasu zasyczały przy zetknięciu się z ziemią.

Pozostałe dwa poleciały śladem Shawa i *Muchołapki*. Shaw wystrzelił kolejną serię w obscenicznie wijące się czerwiej glewiowe wyrzucane przez bestie. Czerwiej pękały i syczały pod gradem pocisków. Rin poczuła mimowolny skurcz w żołądku.

Drugi mutalisk był tuż-tuż, a jego kłapiące szczęki i ostre kolce znajdowały się niebezpiecznie blisko kabiny Shawa. Z wideofonu dobiegło stęknienie, gdy Shaw uderzył w zerga działkiem. Silny cios ramieniem goliata posłał mutaliska na ziemię... Stwór potoczył się prosto do Rin.

Zatrzymał się jednak w porę przy pomocy kolczastych skrzydeł i próbował wystartować. Paciorkowate, obce oczka zwróciły się na Rin!

Większość filmów o mutaliskach, jakie znalazła w sieci, zrobiono z powietrza; były to głównie zamazane ujęcia dokumentalne i wojskowe poglądówki. Widziało się tam głównie chaotyczny trzepot skrzydeł i wijące się odwłoki. Oczywiście Rin oglądała również rysunki anatomiczne mutalisków. To jednak był pierwszy mutal, jakiego zobaczyła z *bliska*, kłapiący zębami i drący powietrze skrzydłami.

Rin poczuła, jak wzbiera w niej strach pomieszany z obrzydzeniem. W jej głowie zabrzmiał instynktowny głos: *Uciekaj! Uciekaj, inaczej na pewno umrzesz!* Pulsował strachem i Rin odruchowo wyciągnęła rękę, aby włączyć wsteczny bieg...

Ale wtedy usłyszała przez wideofon tubalny ryk Shawa.

– Ha-ha! Sukinsyny! Poślę was do wszystkich diabłów! – Na ekranie najemnik parsknął i pluł.

Wyrwana z transu Rin chwyciła starego AGR-14 ojca, wychyliła się i trzykrotnie strzeliła w mutaliska. Ten zaskrzeczał i Rin ujrzała, jak krople krwi padające na maskę wozu wyżerają w niej niewielkie otwory.

Tymczasem Shaw rozprawił się z trzecim mutaliskiem, a potem odwrócił się do Rin, złapał drugiego zerga za ogon i roztrzaskał go z chrupnięciem o wystającą skałę.

– Mam nadzieję, że masz dość mózgu, żeby zrozumieć, co cię czeka – warknął Shaw. Przyłożył broń do pyska mutaliska...

...i wywalił zalaną kwasem dziurę w skałę za nim.

*To się nazywa lubić swoją pracę.* Rin spostrzegła, jak ślina zbiera się w kąciakach ust najemnika, gdy ryczał zwycięsko. *Może nawet za bardzo.*

Ziemia zapieniła się, gdy resztki mutaliska zaczęły spływać. Shaw zarechotał i zastrzelił ostatniego nędznego czerwia, ocalałego z pogromu. Rin widziała przez wideofon, jak Shaw odwraca się do Champlaina.

– I co, profesorze, mówił pan coś o ofiarach?

\* \* \*

Około południa Rin zaczęła tracić cierpliwość. Natrafili jeszcze na dwie polujące grupy: parę, a potem sześć sztuk, i za każdym razem Shaw naigrawał się z mutalisków i śmiał się jak opętany, masakrując je.

– Shaw! – Rin krzyknęła do wideofonu, gdy skończył rozwalać ostatniego obcego dolnym laserem. *Niech mnie szlag!*

– O co chodzi, panienko?

Rin puściła zdrobienie mimo uszu.

– Sama mogłam tu przyjechać i rozwalać zabłąkane mutale ze starego AGR-14 ojca, ale wydawało mi się, że zamierzasz zniszczyć dla nas iglicę.

– Cały czas jedziemy kursem, jaki podał nam ten twój jajogłowy – zachichotał Shaw.

– Azymut jest poprawny. Jeśli nie znajdziemy iglicy w promieniu kilometra – zaraz za tą granicą – osobiście podrę swoje referencje! – odparł Champlain coraz bardziej zirytowany. – Poza tym im więcej zabijemy, tym lepiej. Mutaliski na pewno się nie rozmnażają. Nie bez wylęgarni.

Łowcy wjechali na grań, a gdy osiągnęli jej szczyt, Rin ujrzała rozległą dolinę i jej główny element, imponujące płaskowzgórze.

– Wow – wydukał Champlain, tak bardzo pod wrażeniem krajobrazu, że zapomniał o narzekaniach.

– To Kowadło – wyjaśniła Rin. – Na początku Choss zasiedliła jakaś komuna głosząca powrót do natury, jakieś sto lat temu. Nazywali siebie Anaranjado Noventa – Pomarańczową Dziewięćdziesiątką – mimo że było ich około dwustu. Uważali, że ta skała stanowi święte miejsce, doskonały cel duchowych wędrówek. Z tego, co wiem, nikt tu nie zaglądał od setnej rocznicy kolonizacji, gdy miałam z siedemnaście lat...

– Patrzcie! – krzyknął Champlain. Shaw zboczył w lewo, w dół zbocza, a Rin wyjęła lornetkę i popatrzyła we wskazane miejsce...

Tam, na dnie doliny, ukryta w cieniu płaskowzgórza... stała iglica.

Była dużo większa i brzydsza, niż sobie wyobrażała Rin. Wielka kurza łapa na chrzęstnym szkielecie, o średnicy wielkiej sekwoi, jaką Rin w dzieciństwie oglądała w filmoksiążce. Na tej podstawie wspierał się pulsujący, błoniasty worek, z falującym okrągłym wylotem na szczycie.

*Wygląda jak odbył samego diabła*, pomyślała Rin słysząc w głowie głos ojca. *Jest ogromna.*

Cały nawis Kowadła aż kipiał od szeleszczących skrzydeł i pokładełek – Rin nawet nie mogła się ich doliczyć. Nagle, wiedziona niewytłumaczalnym pędem stadnym, horda poderwała się do lotu.

Było ich mnóstwo, istna wrzeszcząca, łopocząca kakofonia zgrzytających zębów i skrzypiących, kolczastych kończyn. Przesłoniły niebo przerażającą chmurą śmierci.

– Tekeli-li! – krzyczały. – *Chodź i zgiń.*

I gdy ta beznadziejnie ogromna horda znów osiadła wokół iglicy, Rin pomyślała: *Będziemy potrzebować więcej goliatów.*

– Podejrzywałem, że zastaniemy tu coś podobnego – wymamrotał Champlain. – To wasze Kowadło prawdopodobnie posiada bardzo bogate złoża minerałów. Działają one podobnie jak farba ferrytowa w statkach z najstarszymi systemami maskowania, zakłócają sygnały radarowe. Nic dziwnego, że nie zauważyliśmy tej iglicy na żadnych zdjęciach satelitarnych! Nic dziwnego, że przeoczyły ją wasze grupy oczyszczające! Mutaliski prawdopodobnie zwabiło tu wspaniałe miejsce do gniazdowania, lecz przypadkiem trafiły również na doskonałą kryjówkę.

– Może to wcale nie był przypadek. Może one *chciały* się ukryć przed satelitami – mruknęła Rin.

– Nie, nie. Mutaliski nie są w stanie zrozumieć tak złożonych pojęć, jak obraz radarowy – odparł Champlain.

– Mówił pan, jak mi się zdaje, że ciężko powiedzieć, do czego są zdolne – zauważyła Rin.

Champlain nie odpowiedział, obserwując ogromne stado, dopóki Shaw nie mruknął:

– Dobra. Champlain, zdejmijmy ten pański bajzel z moich pleców i przenieśmy pana do LWB. Dotrzyma pan towarzystwa ładnej pani szeryf. A ja i mój goliat wyślemy te przerośnięte czarne muchy na spotkanie z ich oślizgłym stwórcą.

\* \* \*

Pół godziny później ona i Champlain jechali pełnym gazem na kursie poprzecznym do iglicy.

– Przejeźdź im przed nosem – nakazał Shaw. – Wyciśnij z tej bryki pełną moc i wal pod samą iglicę. Rób tyle hałasu, ile się da, ale nie waż się zatrzymać!

Rin wcześniej się z nim wykiwała. Przecież jeden goliat, nawet uzbrojony po zęby, nie był w stanie zniszczyć tej ogromnej iglicy.

– Trzymaj się tego, na czym się znasz – odwarknął jej wtedy Shaw. – Nie tak trudno ją rozwalić... o ile tych paskudztw nie ma w domu...

Gdy Rin dodała gazu, LWB zatrzęsł się i zadrżał, ale jechał równo. Champlain siedział z tyłu, dłubiąc przy sporych rozmiarów ustrojstwie, na którego zabranie nalegał.

– Co to jest, doktorze?! – zapytała Rin przekrzykując szum wiatru.

– Rozpylacz syntetycznych feromonów. Uważam, że poza zasięgiem kontroli telepatycznej mutaliski porozumiewają się za pomocą różnego rodzaju zapachów. Zbierałem i badałem ich próbki. Jeśli wpadniemy w kłopoty, będę mógł to wyrzucić i odciągnąć ich uwagę. Ten konkretny zapach ma imitować wydzielinę rozrodczą wylęgarni!

Rin zmarszczyła nos. *Fuj*.

– Często pan tego używa? – odkrzyknęła.

– Nie! – uśmiechnął się z dumą. – Opracowałem wzór dopiero w zeszłym tygodniu! Nie mogę się doczekać próby!

*Wspaniale*. Rin zmrużyła oczy i skoncentrowała się na swoim zadaniu.

Plan był prosty. Rin i Champlain mieli odciągnąć większość hordy od iglicy, przejeżdżając im pod samym nosem z maksymalną prędkością. To dałoby Shawowi szansę, aby wprowadzić *Muchołapkę* do akcji, podłożyć ładunek wybuchowy na szczycie iglicy, wysadzić ją i zlikwidować chmarę, gdy ta zbije się w grupę do ataku odwetowego.

– Jeśli uda ci się zbić te sukinsyny w grupę, wygrywasz – wyjaśnił Shaw. – Proste jak drut.

Rin miała wielką nadzieję, że najemnik wie, co robi, gdyż w przeciwnym razie czekało ją prowadzenie za sobą stada rozwścieczonych mutali przez pustynię, dopóki w łożysku nie skończy się paliwo.

Iglica była coraz bliżej, w miarę jak dojeżdżali do dna doliny.

– Rany – westchnął Champlain. – Z bliska dopiero jest ogromna!

Było to niedopowiedzenie stulecia. Rin przycisnęła gaz, lecz wydawało się, że iglica wcale się nie zbliża, tylko rośnie i rośnie.

Gdy pojazd dotarł do stóp budowli, Rin pomyślała: *No to jazda*, po czym nacisnęła klakson.

Ogłuszające wycie rozdarło pustynną ciszę jak ostrze przecinające arbuza. Horda poderwała się do lotu z ogłuszającym trzepotem, a Rin zawróciła wzdłuż kanionu i pognęła ile mocy w silniku.

– Spójrz! Spójrz! – wykrzyknął Champlain z niestosowną do sytuacji radością. – Na samym przedzie! To ten sprytny mutalisk! Spójrz!

Rin zaryzykowała i rzuciła okiem za siebie. *To był zły pomysł. I to bardzo*, pomyślała, patrząc na morze łożących skrzydeł i trzeszczących pancerzy.

Champlain jednak nalegał.

– Spójrz, tam z przodu! Widzisz te blizny wokół zuwaczek? Widzisz, ile ma warstw na podbrzuszu? To ten na czele grupy!

Rin zerknęła jeszcze raz. *Boże, on ma rację. Co za paskudny sukinsyn*. Rin nie sądziła, że może istnieć mutalisk dużo brzydszy niż te, które już widziała, lecz ówznaczony bliznami potwór temu przeczył. Prowadził ogromną chmarę jak wiodąca gęś w wędrującym kluczu.

Na grani Shaw uruchomił Muchołapkę i pobiegł w stronę prawie niebronionej iglicy. Rin zobaczyła przez wideofon, jak najemnik szczerzy się niczym uczeń, który zajrzał pod spódniczkę partnerce na balu maturalnym.

– Coś jest nie tak! Spójrz na tego z bliznami! – krzyknął Champlain. Rin odwróciła się ponownie. Wspomniany mutalisk nagle nabral wysokości i zawrócił, a cała chmara podążyła za nim, niczym smuga dymu z komina.

– Nie lecą za nami – mruknęła Rin. – Shaw! Przestały nas gonić!

– Nie będzie miał czasu założyć ładunku – stropił się Champlain. – Spójrz! Dolecą przed nim!

Rin usłyszała, jak Shaw zaczyna przeklinać, gdy horda wróciła do iglicy. Mutaliski dotarli do niej przed *Muchołapką* i rozsypali się ze zbitej formacji w wiszącą nad Kowadłem chmurę grozy.

Rin patrzyła, jak Shaw niechętnie dał całą wstecz, raz po raz strzelając niecelnie raketami w nieliczne mutale, które ruszyły za nim w pościg.

No, pomyślała Rin, *to klops*.

\* \* \*

Tej nocy rozbili obóz w niewielkiej jaskini, około kilometra od Kowadła. Rin sprawdziła swój sprzęt, zatrzymując się trochę dłużej nad granatnikiem AGG-12 w bagażniku łazika.

*Też po tacie, jak cała moja broń*, pomyślała. Zabrała go pod wpływem impulsu. Ten złom miał tylko jeden granat. Ale w końcu kiedy indziej mogłaby go użyć?

Wzięła pojemnik gęstej zupy skaletowej, przyrządzonej przez Ritę z Jasperem, i podgrzała ją na starej wojskowej grzałce, którą Shaw trzymał w *Muchołapce*. Podczas gdy zupa dochodziła, cała trójka zebrała się wokół niewielkiego światła, grzejąc zmarznięte palce.

Shaw milczał, od kiedy jego plan zawiódł, i milczał nadal, patrząc gdzieś w dal.

Gdy zupa była gotowa, siedzieli dalej w ciszy. Wreszcie odezwał się Champlain.

– Chwileczkę...– Zaczął grzebać w torbie z narzędziami. Po dłuższych poszukiwaniach wyjął butelkę, odkręcił i upił niewielki łyk.

– Spędziłem urlop na Shiloh... Podobno najlepsza w całym sektorze – whisky, znaczy się.

Podał butelkę Rin, która uśmiechnęła się w duchu, przyjęła i upiła łyczek. Gładki, płynny ogień whisky z Shiloh uderzył ją w język i rozlał się po ciele, pokonując nocny chłód pustyni. Rin spojrzała na Shawa i zaproponowała mu trunek.

Najemnik zastanowił się, jakby ważył jakąś decyzję. Wyciągnął rękę po whisky, po czym powąchał alkohol z uznaniem i pociągnął.

– Dobrze się dzisiaj sprawdziliście, oboje. Coś je wystraszyło i to nie wasza wina. Nie zawsze wiadomo, na co zareagują.– Upił kolejny łyk i oddał butelkę Champlainowi. Potem powiedział:

– Mutalami rządzi szal. Szal żerowania, szal rozmnażania. Szal krwi. Mutalisk potrafi wyczuć nawet jedną kroplę krwi z odległości dwóch kilometrów.

Rin wzięła butelkę od Champlaina, lecz nie wypiła. Blask grzałki odbijał się w oczach Shawa, jarzył się głęboko w żrenicach najemnika. *Zupełnie jakby tam był cały czas*.

– W pewnym sensie ten szal sprawia, że są podobne do nas. Musimy... wykorzystać ich pragnienia. Pokazać im to, czego chcą. Żeby poczuli. Wtedy dopiero zbijają się w kupę, tracą rozum i myślą tylko o jednym. I wtedy można je rozwalić.

Rin, która sączyła whisky, poczuła mimowolny dreszcz na karku. Champlain miał problem z dobytciem głosu.

– Skąd pan się tyle o nich dowiedział? Nie, ee, nie każdy zna paroksyzmowy model behawioralny Higgsa-Davisa... Być może garstka moich kolegów po fachu i żołnierze, ci którzy... wie pan...

Shaw milczał przez chwilę, zanim znów przyjął butelkę.

– Kiedy zapadła kurtyna nad Mar Sarą, gdy zrobiło się naprawdę paskudnie – a protosi wisieli nad spaloną na szkło Chau Sarą i zwracali uwagę ku jej bliźniacze – dokonano próby ewakuacji planety. Na pewno oboje o tym czytaliście, oglądaliście filmy i tak dalej.

Teraz napił się, nie trochę, lecz od razu głębokim haustem.

– Byłem starszym sierżantem na pokładzie *Hoosiera*, krążownika z załogą około tysiąca dwustu ludzi. Dano nam jedną noc na przygotowanie do startu, żeby pomóc w ewakuacji, nie było czasu na porządne zaopatrzenie, na uzupełnienie amunicji – trzeba było wlecieć w tej konserwie i modlić się o fart.

– Był pan na *Hoosierze*?! – pisał Champlain, ale umilkł, gdy Rin dała mu kuksańca.

– Zabraliśmy stamtąd cztery tysiące kolonistów i poleciliśmy pełną parą do punktu ewakuacji. W każdej chwili spodziewaliśmy się, że zaraz rozwałą nas działa jonowe protosów. W tamtych czasach nie wiedzieliśmy jeszcze nic o zergach, nie zdawaliśmy sobie sprawy, że mają tyle różnych gatunków, ani że niektóre potrafią latać w kosmosie tak dobrze, jak w atmosferze.

Pustynna cisza zgęstniała. Rin słyszała oddechy Shawa i Champlaina, a także swój własny, brzmiały jak wilgotne, głośne szmery, nienaturalne w sytuacji, gdzie stosowna była tylko cisza.

– Pięć tysięcy ludzi wystartowało tamtego dnia z Mar Sary. Pięć tysięcy krzyczało, gdy wpadliśmy w chmurę mutali.

Shaw przerwał, biorąc głęboki, chrapliwy oddech. Ten odgłos znów przypomniał Rin starą piłę łańcuchową ojca, która krztusiła się zaklinowana w zaroślach, póki nie zabrakło jej paliwa.

– Cztery dni później wyciągnięto z kapsuły ratunkowej sześćdziesięcioro troje z nas.

– Sześćdziesięcioro troje szczęśliwców – przytaknął Champlain z powagą.

– Szczęśliwców – zaśmiał się Shaw bez cienia radości. – Szczęśliwców.

\* \* \*

Rin śniło się, że Jasper wrzeszczy. Biegła w nieskończoność, próbując go odnaleźć. Ten wrzask! Ten wrzask...

Ten wrzask istniał naprawdę, tylko nie... nie należał do Jaspera.



Rin nagle otworzyła oczy i zobaczyła w bladym świetle poranka szybko zbliżające się skrzydła, łopoczące bez ustanku. Skoczyła po AGR-14 ojca, widząc, jak Shaw wspina się do kabiny *Muchołapki*, a Champlain stoi z otwartymi ustami.

– Wsiadaj! – warknęła, chwytając go za poję i wpychając do łazika mocniej, niż było trzeba. Odwróciła się i wystrzeliła cały magazynek w pierwszego mutala, który wszedł w zasięg rażenia, modląc się w duchu i nasłuchując odgłosu rozkręcających się działek Shawa.

\* \* \*

Atakująca grupa liczyła trzynaście mutalisków i mieli szczęście, że nie było ich więcej. Rin skrzywiła się na samą myśl o tym, jakie szkody mógłby wyrządzić nawet jeden z tych potworów, gdyby dostał się do jej miasta.

Pierwsze dziewięć zestrzelili z nieba bez trudu, a następne dwa padły pod ogniem lasera, lecz byli za blisko na strzał z raket i ostatnie dwa mutaliski weszły w kontakt z *Muchołapką*. Zanim Shaw zdążył rzucić je i podziurawić kulami, obie wyrzutnie raket zostały rozerwane na kawałki.

To doprowadziło do kłótni.

– One polowały *na nas*, Shaw! Polowały właśnie na nas! – Rin w pośpiechu pakowała sprzęt do LWB. Ta wyprawa było głupotą. *Teraz najlepsze, co mogą zrobić, to zasuwać do miasta i rozpocząć ewakuację, zaprowadzić ludzi w bezpieczne miejsce*, pomyślała. *A potem, jeśli dopisze mi cholerne szczęście, dziesięć tysięcy uchodźców na progu zmusi Stronga do ruszenia dupy i zajęcia się problemem*.

– Mutale polują! Takie już są! – odwarknął Shaw, demontując ostatnie resztki zniszczonej wyrzutni raket z *Muchołapki*.

– W grupach po dwa lub pięć do sześciu! Sam zabijałeś je wczoraj! – krzyknęła Rin. – One polowały konkretnie na nas i musimy jechać do miasta, żeby zabrać moich ludzi w bezpieczne miejsce!

– Mówiłem, żebyś trzymała się tego, na czym się znasz!

– Znam się na zagrożeniach i nie zamierzam ryzykować życiem moich ludzi, żeby mógł się pan bawić w wojnę, aż któryś z tych mutali nie zbliży się na tyle, żeby nas sprzątnąć! Wracamy do...

Shaw odstrzelił jej łańcuch napędowy. Jeszcze przed chwilą Rin pakowała się do działającego LWB, osobiście odremontowanego, dopieszczonego i ulubionego, którym miała wrócić do domu i ocalić Ritę, Jaspera, doktora Beele'a i całą resztę, a teraz nagle ładowała swoje rzeczy do bezużytecznego wraka. Shaw odstrzelił jej łańcuch z tego cholernego dolnego lasera.

– Oszalałeś. Kompletnie ci odbiło, zabijesz nas wszystkich! – prychała Rin.

– Zabiję tylko i wyłącznie te robale! Rozwaliłem setkę iglic w drobny mak i rozwalę jeszcze ze sto, a kiedy będziemy patrzeć, jak ta paskudna kupa śluzu wsiąka w ziemię, podziękujesz mi,

panienko, że miałem dość jaj tam, gdzie ty masz powietrze. A teraz wsiadajcie... wezmę was na hol.

\* \* \*

Tak oto Rin znalazła się na grani i patrzyła, jak Shaw przygotowuje kolejny atak z zaskoczenia. Zaciągnął łaźnik na szczyt grani i zostawił go oparty w cieniu skał, tuż przy głębokim korycie wyschniętej rzeki. Rin przystała na ten plan, bo powrót przez pustynię oznaczał trzy dni pieszej wędrówki i nie miała jak zabrać dość wody do plecaka... a poza tym co, do cholery, innego mogła zrobić?

Champlain nie powiedział nic od porannego ataku i teraz milczał dalej, siedząc na masce samochodu i obgryzając paznokcie, gdy daleko w dolinie Shaw wypuścił wabik – mały, tani automatyczny szybowiec z przeraźliwym sygnałem dźwiękowym.

Rin ledwo miała czas pomyśleć: *Wabiki. Ten drań miał wabiki, a mimo to wczoraj kazał nam robić za przynętę!* – gdy wszystko diabli wzięli.

Stado poleciało za wabikiem i ścigało go przez chwilę, lecz gdy tylko Shaw ruszył w stronę iglicy, chmara rozdzieliła się na trzy grupy i uderzyła.

*To atak oskrzydłający! Cholera jasna, one go okrążyły!* pomyślała Rin. Usłyszała zaskoczone sapnięcie Champlaina.

Shaw otworzył ogień ze wszystkiego, co miał. Działka dudniły, a laser pulsacyjny ściągał mutale z nieba dziesiątkami, lecz na miejsce każdego zabitego przybywało dziesięć kolejnych.

– One go zabijają! – wrzeszczał Champlain. – Musimy... musimy coś zrobić! Moje urządzenie...!

Zaczął grzebać w swoim sprzęcie i wyjął nieporęczny aparat wielkości piłki plażowej.

– Pomóż mi, proszę... – jękał się, gdy horda waliła w chwiejącego się goliata szybciej, niż Shaw mógł się opędzić od mutali.

*Niech to szlag,* pomyślała Rin i chwyciła AGR-14.

Biegli wzdłuż skraju grani, tuż przy korycie rzeki, a Champlain majstrował przy swojej feromonowej bombie. Ku przerażeniu Rin urządzenie zaczęło wydawać wysoki, przenikliwy jazgot.

Trzy mutaliski natychmiast poderwały się i ruszyły w ich stronę.

Rin zaczęła strzelać. Przebiła skrzydła jednego i patrzyła, jak spada, rozbryzgując się w fontannie kwasu. Pozostałe szybko jednak dotarły do niej i Champlaina.

Czerwie glewiowe uderzyły w ziemię tuż przed Rin. Szeryf wystrzeliła, czerwie skręciły się i pękły jak popcorn w garnku. Kwas ochlapał jej trzy najmniejsze palce lewej dłoni, a potem Rin poczuła rozdzierający ból, gdy jej ciało zaczęło się gotować i odpadać od kości.

– Już prawie! – krzyknął Champlain, a mutalisk nagle zanurkował.

Rin zobaczyła jak w zwolnionym tempie, że Champlain się cofa, próbując uniknąć sięgającego doń pokładelka. Z zaskakująco wyostrzoną ostrością widziała, jak naukowiec zahacza stopą o wystający kamień, jak zmienia się jego środek ciężkości, jak w niemożliwy sposób zawisa w powietrzu...

...a potem wpada do koryta rzeki.

Rin krzyczała, przytrzymując spust, czując jak gorąca nienawiść wzbiera w niej, nienawiść do tych stworów, tych okropności, które nie miały prawa istnieć!

Sprawił jej satysfakcję widok eksplozji bliższego mutaliska, gdy kolce podziurawiły jego tułów. Kolejny zapiszczał złapany w fontannę kwasu, po czym także zwałił się jak kamień.

Biegając do krawędzi koryta Rin słyszała z wideofonu w LWB przeklinającego Shawa.

– Champlain!– syknęła. – Champlain! Brad!

Naukowiec leżał w dole, bez ruchu i w nienaturalnej pozycji.

*Nie można poznać*, pomyślała Rin. *Nie można poznać, czy jeszcze żyje.*

Oparła się plecami o głaz i zdusiła chęć krzyku, płaczu, czegokolwiek. W dolinie poniżej *Muchołapka* wręcz zniknęła pod chmurą tych strasznych skrzydeł. Shaw walczył bez ustanku i chwiał się pod naporem mutalisków, a plugawy kwas z ginących jeden po drugim robali przeżerał już hełm, przepalał pancierz kabiny i parzył operatora goliata.

Rin wiedziała, że horda wykończy Shawa. Samą liczebnością mutaliski były w stanie pokonać trójkę ludzi. Widziała, jak Szrama krąży nad rozpaczliwie zgrzytającym, chwiejącym się goliatem z tragicznie uwięzionym w środku człowiekiem. *Kiedy zdążyłam nazwać tego mutala?* zastanawiała się Rin spokojnie. *I czy, na miłość boską, ten wielki sprytny mutalisk Champlaina zabije nas wszystkich?*

Szrama zanurkował. Pozostałe mutale rozpięzchły się, jak fale na powierzchni wody. Rin widziała, jak Szrama zatapia kły w panczerzu i odrywa rozpadającą się płytę. Widziała Shawa wystawionego na koszmar jego życia. Widziała, jak Szrama skrzeczy mu prosto w twarz swój upiorny zew, „Tekeli-li!”, i poczuła dreszcz w kręgosłupie, gdy Shaw wyprostował się w kabinie, która miała stać się jego grobem, i ryknął z całych sił, z pierwotną wściekłością, na swojego dręczyciela.

Był bardzo odważny i Rin poczuła w duchu okropny, nieproszony przyptyw współczucia i sympatii dla tego straszego, szalonego wojownika, który zgubił ich wszystkich; wtedy właśnie, w tej chwili najgłębszej więzi, Szrama zatopił swój straszliwy kolec w piersi Shawa. Rin słyszała głucho uderzenie, słyszała, jak krzyk Shawa urywa się z wilgotnym, ssącym odgłosem, i wiedziała, że mutaliski nie kłębią się już nad człowiekiem, lecz tylko nad stygnącymi zwłokami.

Utknęła tu.

*Jedynym sposobem powrotu jest goliat. Ale on roi się od mutali. Nawet jeśli go z nich oczyszczę, robot jest tak poharatany, że rozsypie się pode mną po dziesięciu krokach.*

Palący ból ręki pogarszał się coraz bardziej. Rin zerknęła na dłoń i natychmiast targnęły nią mdłości. Zagryzła wargę, żeby nie wymiotować.

Czekając aż mdłości miną, Rin przyjrzała się zniechęconej iglicy, Kowadłu wznoszącemu się dalej i na wijącą się ucztę z tego, co kiedyś było Shawem.

*Krew mutalisków wystawiona na działanie powietrza staje się wyjątkowo żrąca, przypomniawszy sobie. Musimy wykorzystać ich pragnienia, pokazać im to, czego chcą, zabrzmiał głos Shawa sprzed ogniska. Mutalisk potrafi wyczuć kroplę krwi z odległości dwóch kilometrów.*

Rin wyobraziła sobie, co by się stało, gdyby się poddała. Wyobraziła sobie biedną turystyczną miejscowość pozostawioną na pastwę losu. Wyobraziła sobie Ritę i Jaspera, gdy horda wybija wszystkie górskie dziki oraz łowne nietoperze i podąży na zachód...

Miała tylko jedną możliwość do wyboru, który tak naprawdę nie był wyborem, lecz alternatywa uczyniła tę możliwość jedyną wartą rozważenia.

Pokonując ból, Rin dokuśtykała do łazika i zaczęła grzebać w apteczce, szukając laserowego noża, który pożyczył jej doktor Beele. Po raz kolejny rzuciła okiem na lewą dłoń i zobaczyła, że palce – środkowy, serdeczny i mały – prawie w całości zmieniły się już w spienioną masę zniszczonej tkanki. Rin ścisnęła w zębach pasek apteczki i przyłożyła nóż do dłoni.

*Szybko, pomyślała, jak bandażem. Zaciśnęła zęby mocniej na skórze paska, czując, jak po karku spływa jaj kropelka potu. Raz... dwa...*

Jednym szybkim pociągnięciem Rin odcięła sobie palce u nasady. Dokoła rozszedł się zapach spalenizny.

Ból przeszył ją, jakby wraziła sobie nóż we wnętrzności, a przed oczami pojawiły się mroczki. *Nie zemdleję*, powiedziała sobie stanowczo Rin i prawie przegryzła pasek, czekając, aż rozchwiany świat na powrót nabierze ostrości.

Otworzyła bagażnik LWB i wyjęła stary granatnik AGG-12 po ojcu. Pomyślała o tkwiącym w środku granacie klasy „Punisher”, zdolnym przy odrobinie szczęścia rozwalić pięć, może sześć mutali w ciasnej grupie. *Co za różnica, czy trochę przetrzebieję tę hordę, skoro równie dobrze może liczyć sześćdziesiąt pięć sztuk.*

Granat miał już dwadzieścia lat i Rin modliła się, żeby granatnik wypalił. *Dlaczego przez tyle czasu odkładałam kupno nowych granatów?* Miała w swoim biurze co najmniej dziesięć nieużywanych ryz arkuszy QSD, z których każdy mógł zapewnić dodatkowy granat. *Wystarczyłby inny formularz i już, pomyślała.*

*Niedobrze. Robię się cięta. Muszę się skupić. Skupić się i iść w drogę.*

Cicho i powoli, Rin zaczęła omijać szerokim łukiem iglicę, przewróconego goliata i Kowadło. Czuła, jak pot paruje z jej karku, jak niechroniona skóra przypieka się we wschodzącym słońcu.

W końcu, w końcu, dotarła do przeciwległego zbocza Kowadła.

Dopiero gdy znalazła się na miejscu, zdała sobie sprawę, jak cholernie wysokie jest płaskowzgórze. *Takich rozmiarów, że człowiek może poczuć się malutki. Rozmiarów, od których człowiekowi kręci się w głowie od patrzenia w górę, nawet jeśli nie jest świeżo po własnoręcznie dokonanej amputacji.* Otoczenie niebezpiecznie przypominało Rin kaniony w okolicy miasta.

*Nie dam rady wspiąć się na tę skałę,* pomyślała. A potem pomyślała o Jasperze i Ricie i wsunęła okaleczoną dłoń w pierwszą szczelinę.

\* \* \*

Słońce prażyło jej plecy, gdy przerażona wspinała się centymetr po centymetrze po stromej ścianie. *Taszcze ze sobą broń odpowiednią dla faceta o połowę większego ode mnie, a do tego nie mam trzech najważniejszych palców,* pomyślała. *W sam raz na pierwszą wspinaczkę.*

Lecz wspinała się dalej.

Cmokanie i kłapanie mutalisków rozrywających zwłoki Shawa zaczęło zwalniać tempa.

*Częstujcie się, chłopaki, ogryźcie go do kości. Nie chcę, żebyście zastali mnie tutaj, wiszącą na zboczu tej przeklętej skały jak winogrono na pnączu.*

W połowie drogi spojrzenie w dół sprawiło, że Rin zaczęła się niebezpiecznie chwiać. Żółć podeszła jej do gardła.

*Nie ma sensu z tym walczyć.*

Zwymiotowała. Wiedziała, że ma zawroty głowy, jest odwodniona i umiera z przegrzania.

Mimo to nie przerwała wspinaczki.

W końcu dłoń Rin zacisnęła się na płaskiej, rozpalonej niczym piec, skalistej krawędzi szczytu (*Boże, nareszcie!*), a zaraz potem dołączyła do niej druga. (*Podciągnij się. Podciągnij! Do góry i na szczyt, proszę!*) I nagle Rin miała wspinaczkę za sobą.

Skradała się wzdłuż brzegu, na brzuchu, bojąc się wstać albo spojrzeć w dal. Podczołgała się do krawędzi Kowadła (*Nie patrz w dół!*) i uważnie wycelowwała z AGG-12: od Kowadła do iglicy, od iglicy do goliata i lepkiej kupki kości, która na pewno w nim została. (*Nie myśl o tym!*)

*Masz jedną szansę. Nie zmarnuj jej.*

Walcząc z kolejną falą torsji, Rin włożyła ranne kikuty palców w zęby i ugryzła.

Nowe uderzenie bólu – świat zaczął wirować jej przed oczyma.

*Nie waż się zemdleć!* warknęła na siebie. Silny strumień krwi, jej własnej krwi, trysnął jej do ust...

Kaszłąc, dławiąc się, targana pomiędzy śmiechem i płaczem, Rin wysunęła głowę za krawędź...

...i wypluła krwawą mgiełkę na wiatr.

Reakcja była zaskakująca – sto skórzastych skrzydeł rozcięło powietrze z szumem przejeżdżającej kolei magnetycznej. Chmara uformowała grupę wokół Szramy i poleciała w kierunku Rin. Ta mocniej ścisnęła granatnik...

*Jeszcze nie...*

Odziedziczony po skrzydłoszponach krzyk stworów targnął wnętrzościami Rin; teraz wydawało go pięćdziesiąt głosów i był przeznaczony wyłącznie dla niej.

– Tekeli-li! Tekeli-liiii! – Każdy nerw kobiety błagał o ucieczkę.

*Jeszcze nie!*

Zbliżały się! Już pokonały połowę odległości! Już połowę pozostałej! Wirująca chmara skrzydeł jednoczyła się właśnie w jednym, wspólnym zamiarze, w ataku na wspólny cel, a wielka masa ciał zergów płynęła, jak falująca istota...

Mutaliski zbiły się w grupę, przypominającą wielki paskudny kleks na niebie. I gdy Rin patrzyła na zbitą masę, na czoło grupy wysunął się jeden zerg – stworzenie o paszczy pokrytej bliznami!

Rin wzięła głęboki wdech, opuściła przedni celownik i wystrzeliła swój jedyny granat.

Nisko.

Za nisko, żeby drania trafić.

Za nisko, żeby nawet drasnąć hordę...

...lecz wystarczająco daleko, by granat poszybował (*właściwie to pokoziołkował*) po wdzięcznej paraboli...

...prosto w otwór na szczycie iglicy, nad którą zbiła się grupa.

W ułamku sekundy cała masa zniknęła w gejzerze żrącej wydzieliny z eksplodującej iglicy i śpiących w niej mutalisków. Rin słyszała ich wibrujące śmiertelne krzyki, widziała, jak korpusy i skrzydła topią się w chmurze pełnej toksycznych wnętrzości. Poczuła, jak te sukinsyny umierają.

Nic lepiej nie zabija zbitej grupy niż eksplozja.

\* \* \*

Zejsście na dół było półprzytomnym pasmem ślizgów i rozpaczliwych chwytów. Kowadło od strony iglicy było mniej strome, lecz Rin traciła powoli przytomność, widząc rzeczy, których na pewno nie mogło tam być.

Upadła z wysokości kilku metrów...

...i ogarnęła ją ciemność.

\* \* \*

Rin obudziła się, słysząc rytmiczne człapanie kulejącego goliata.

*Gdzie jestem?*, pomyślała niespiesznie, podczas gdy świat powoli odzyskiwał ostrość.

Gdy trochę doszła do siebie, zdała sobie sprawę, że obija się w zasobniku laboratoryjnym na wlokącej się noga za nogą *Muchołapce*. Poczła lekki ból w przedramieniu; zerknąwszy w dół zobaczyła kroplówkę, wlewającą w nią życiodajny płyn.

– Shaw? – wymamrotała, próbując połączyć elementy w całość.

– Szeryf Sharon! Pani żyje! – Ten głos ni cholery nie mógł należeć do Shawa. Champlain żył i to właśnie on prowadził goliata.

Miał rękę na temblaku, a przy pomocy drugiej musiał zмагаć się z nieznanymi mu sterami. Mimo to emanował dumą, gdy z trudem odwrócił się do Rin.

Rin podniosła się bardziej i zobaczyła przód korpusu Szramy przytroczony do kadłuba. Wnętrznosci potwora dymiły lekko, lecz tułów był cały.

– Udało ci się! Złapałeś swoją grubą rybę!

Brad odwrócił się, spojrzął na nią i poprawił okulary.

– Aha.

Rin zaśmiała się głośno. Ten śmiech przypominał głęboki bulgot górskiej rzeki, jakby ciało kobiety potrzebowało w fizyczny sposób wyrazić myśl: *Ja żyję!*

I Brad zawtórował jej śmiechem.

*Muchołapka* zataczała się jak pijana, gdy Brad trzymał się pod boki i wraz z Rin trzął się ze śmiechu.

Gdy ich samokontrola ponownie wzięła górę, Brad prychnął:

– Ocknąłem się, kiedy wysadziłaś iglicę w powietrze. Czy raczej obudził mnie ten hałas. Nie wiedziałem, co go spowodowało, dopóki nie wydostałem się ze szczeliny. Z pękniętą kością łokciową nie przyszło mi to łatwo, ale udało się. Leżeliście tam oboje, szeryf i mutalisk, tuż przede mną.

– Ach, Bradzie Champlain – wyszczerzyła się Rin, – Mój bohaterze.

Spojrzała do tyłu na dymiące cielsko i westchnęła.

– Chyba WBS postawił na właściwego naukowca. W końcu, cholera, dostali swoją zabawkę, a mnie kosztowało to jedynie kilka palców.

Champlain zatrzymał goliata, odwrócił się i wzruszył ramionami.

– No, nie wiem. Może powinni się troszkę pomartwić. Chyba wypada, żeby za to jakoś zapłacili. Na przykład paroma wieżyczkami raketowymi klasy „Longbolt”?

Rin spojrzała na łobuzersko zadowoloną minę Champlaina i znów uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Cokolwiek pan powie, profesorze. To pan jest tu ekspertem.

I ruszyli w drogę do domu.

Koniec